

Pod krzakiem losu naszego

Piotr Grobliński: - Który to już rok na scenie?

Andrzej Wichrowski: - Debiutowałem w 1977, czyli to 41. sezon. Pierwsze lata trwały dłużej - myśmy z żoną Ewą dosyć często zmieniali wtedy teatry. Dwa lata w Szczecinie, trzy lata w Opolu, cztery lata w Teatrze im. Słowackiego Krakowie. A potem już Łódź - Teatr im. Jaracza, potem Teatr Nowy do czasu rozpadu zespołu i od 2004 r. znowu „Jaracz”.

Przy przenosinach stawiali państwo warunek, że albo razem, albo wcale?

- Nie stawialiśmy warunku, to zawsze było jakoś oczywiste. Zawsze byliśmy w jednym teatrze, tylko w Szczecinie graliśmy w innych, ale wtedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem. Zmienialiśmy miejsce, szukając dla siebie artystycznej przestrzeni. Aktor wtedy wybierał, z jakim reżyserem chce pracować. My na przykład bardzo chcieliśmy pracować z Mikołajem Grabowskim, więc przenieśliśmy się do Krakowa. Największym problemem wtedy było mieszkanie.

Dzisiaj mieszkanie można kupić, wynająć. A jednak aktorzy chyba rzadziej się przenoszą.

- Kiedyś te decyzje były łatwiejsze, bo nie było presji, że tu dostanę więcej, a tu mniej. A jeśli pójdę do Warszawy, to może serial...

Lubi pan grać z żoną? Często graliście małżeństwa?

- Nie mam z tym problemu. Graliśmy małżeństwo w Krakowie, w takiej węgierskiej sztuce Gyorgy'ego Szwejdy pt. „Hymn”, bardzo dobrej, warto by ją wznowić.

W takich wypadkach przenosi się na scenę coś z prywatności? Robi się z tego jakaś psychodrama?

- Nie, to nie w tych kategoriach trzeba rozważać. W pracy na scenie dominuje temat, który się realizuje. A to, czy gram z żoną, czy z aktorką, którą widzę pierwszy raz, nie ma znaczenia.

Przez te 40 lat w ilu premierach pan zagrał?

- Nie liczyłem, ale pewnie w około setce.

Czy coś z tego zostaje? Pamięta się jakieś kwestie? Przypomniałby pan coś z Opoła z początku lat 80.?

- Nie, tak to nie. Zostają jakieś fragmenty. Śmieszna sprawa - pamiętam początek „Księcia niezłomnego”, którego robiłem jako moją pierwszą sztukę w Szczecinie. Zostaje w uchu melodia. Gdy to teraz graliśmy, to do mnie wróciło jak z zaświatów. Słyszałem mówiącego moją dawną rolę Pawła Paczesnego i nagle coś mi się nie zgadza, bo ta stara melodia mi się przypominała. Podobnie zresztą było z „Czarownicami z Salem”, gdzie powtórzyłem rolę.

Jak się gra jakąś postać po raz drugi? Człowiek się odwołuje, porównuje?

- Ja z tych „Czarownic” nie pamiętałem wiele, ale w momencie, gdy wszedłem w rolę, to nagle

trochę inne tłumaczenie spowodowało, że ten tekst z 2000 roku wracał, to było silniejsze, myliło mi się, więc zdecydowałem, że będę łączył obie wersje. Tak powiedziałem Mariuszowi (Grzegorzowi, reżyserowi spektaklu - przyp. PG). Wielka jest siła przeszłości, ona wchodzi w nas niepostrzeżenie.

Rozumiem, że Mariusz Grzegorzek się zgodził. Ale ta sytuacja prowokuje do zadania pytania o współpracę z reżyserami, często należącymi do innego pokolenia. Jak aktor z takim doświadczeniem odnosi się na przykład do reżyserów zaczynających swoją przygodę teatralną? Sugeruje im pan jakieś rozwiązania?

- Traktuję ich zawsze jak profesjonalistów, dopóki się nie okaże, że jest inaczej. Spotkałem się z wieloma fantastycznymi młodymi reżyserami, mam szacunek dla tych, którzy potrafią nazwać to, co w nich jest, i budować na tym coś bardzo konsekwentnie. Tak było z Remigiuszem Brzykiem, który w „Jaraczu” zaczynał bardzo przyzwoitym przedstawieniem pt. „Foma”, tak było z Agatą Dudą-Gracz. Na pewno nikogo nie pouczam.

Pełną wersję wywiadu można przeczytać w majowym numerze „Kalejdoskopu”, który jest dostępny w kioskach Ruchu, Kolportera, Garmond-Press, w salonach Empik, recepcji Łódzkiego Domu Kultury oraz w prenumeracie:
<https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-województwa-lodzkiego>